

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 46

Katowice, 20-go listopada

1932

Na ostatnią niedzielę po Świętkach.

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza, rozdz. 24, w. 15—35.

W on czas: Mówił Jezus uczniom swoim: Gdy zobaczycie obrzydliwość spustoszenia, zapowiedzianą przez Daniela proroka (9²⁷), jaka zaległa miejsce święte, — kto czyta niech rozważy! — wówczas ci, co są w Judei, niech uciekają w góry, a kto się znajduje na tarasie domu, niech nie schodzi, by zabrać cokolwiek ze swego mieszkania; a kto jest na polu, niech się nie wraca, by zabrać płaszcz swój. — A biada brzemennym i karmiącym w owe dni! Proścież tedy, aby ucieczka wasza nie wypadła w zimie lub szabat.

Wtedy bowiem nastanie wielka udręka, jakiej nie było od początku świata aż dotąd, ani nie będzie, i gdyby nie były skrócone dni owe, żaden człowiek nie mógłby się zbawić. Ale przez wzgląd na wybranych dni owe zostaną skrócone.

Wówczas gdyby wam kto powiedział: „Oto tutaj jest Chrystus“, albo „tam“ — nie wiercie. Powstaną bowiem fałszywi chrystusowie i fałszywi prorocy, i czynić będą wielkie znaki i dziwy tak dalece, że nawet wybranych wprowadziliby w błąd, gdyby to było możliwe. Oto przepowiedziałem wam.

Gdy więc rzekną wam: „Oto jest na pustkowiu“ — nie wychodźcie; — „oto jest w ukryciu“ — nie wiercie. Albowiem, jak błyskawica wybiega ze wschodu i jawi się aż na zachodzie, tak też będzie z przyjściem Syna człowieczego. Gdzie jest padlina, tam i orły się zbiorą.

A natychmiast po udręce dni owych słońce się zaćmi, księżyc też nie da blasku swego, a gwiazdy z nieba spadać będą i moce niebios zostaną wstrząśniete. — I wówczas na niebiesiech ukaże się znak Syna człowieczego. Wtedy to biadać będą wszystkie plemiona ziemi, i ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego na obłokach niebieskich z wielką

potęgą i chwałą. I wyśle aniołów swych z trąbą i głosem donośnym, i zgromadzą wybranych Jego z czterech wiatrów, od krańców niebios aż do krańców ich. A z drzewa figowego bierzcie przypowieść: gdy już gałąź jego pęka i liście wypuszczają, poznajcie, że lato się zbliża. — Podobnie i wy, gdy ujrzycie to wszystko, wiedzcie, że jest już blisko: we drzwiach. Zaprawdę powiadam wam, nie przejdzie to plemię, aż wszystko się stanie. — Niebo i ziemia przemina, ale słowa moje nie przemina.

NAUKA.

„I ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego na obłokach niebieskich z wielką potęgą i chwałą“.

Straszny to będzie „dzień on, dzień gniewu Pańskiego“. Dopełni się ostatni akt dzieła odkupienia: sąd nad tymi, co szli za Jezusem, i nad tymi, co byli przeciwko niemu.

Św. Jan w Objawieniu powiada: „I widziałem umarłe, wielkie i małe, stojące przed oblicznością stolicy, a księgi są otworzone; i drugą księgę otworzono która jest żywota; i sądzono umarłe z tego, co napisano było w onych księgach wedle czynków ich.“

Księgami, które się otworzą, to sumienia ludzkie. I wszystko wtedy wyjdzie na jaw: nawet słówko każde naprożno wymówione, nawet myśl nieśmiała, w tajnikach serca poczęta. I nie będzie zbrodni, któraby się ukryła. „Bóg oświeci, co w ciemnościach zakryte, i objawi wady serca,“ — zapewnią święty Paweł.

Ta druga księga, księga żywota — to ewangelja Chrystusowa. Z nią porównywać będą aniołowie Bóży te otwarte księgi sumień ludzkich.

Zapisuj, bracie, skrzętnie swą księgę, a zapisuj mądrze i pożytecznie: Niech w niej nie będzie planu, świadczących przeciw tobie; niech w niej jak najwięcej będzie dobrych czynów.

Spiesz się z tem i nie ustawaj, zanim przyjdzie „noc, w której już nikt nie może pracować.“ Amen.

Na roraty.

Z opowiadań dziadka.

...A pierwszy raz, kiedy się spotkał z wilkami, lat temu sześćdziesiąt, to było tak:

Mieszkaliśmy wtedy jeszcze w tej samej Wielkiej Huszce, gdzie jako siedmioletni chłopiec pobierałem nauki domowe od pana Adama Delaszkiwicza, młodzieńca lat dwudziestu. Pan Adam był cichy, pobożny, wody nikomu nie zamącił. Pewnego grudniowego wieczoru p. Adam zbliżył się do matki mojej i szeptem:

— Proszę pani, ja się ofiarowałem iść jutro pieszo do Monastyrka na roraty; pani będzie łaskawa się nie gniewać, że się spóźnię na ranne lekcje.

— I owszem, panie Adamie, ależ przecie lepiej saneczkami, pocóż koniecznie pieszo?

— A nie, proszę pani, już ja tak sobie postanowiłem, aby tę moją zimową drogę pieszo ofiarować.

Już nie dosłyszałem, na jaką intencję miał pan Adam ofiarować tę swoją pieszą drogę, ale nagle, ni stąd ni z owąd, i mnie zajęchała jak fura siana do głowy ta myśl, abym i ja także poszedł z panem Adamem do Monastyrku na roraty. Bo, tak sobie myślałem: w saneczki to siada byle kto i końskimi nogami drze na nabożeństwo; ale co to będzie, jak ja z panem Adamem na swoich nogach przybędę do kościółka.

Więc idąc za swemi myślami, puc matkę w rękę i dalejże w prośby:

— Proszę mamy, i ja pójdę z panem Adamem a roraty!

— Czyś ty fiksa dostał? — zawołała matka, — siedź, smarkaczu w domu, kiedy ci ciepło, a w niedzielę pojedziemy wszyscy na sumę.

— Ba, na sumę, ale nie na roraty, i pojedziemy, kiedym ja chciał pójść.

— Daj mi spokój, nie pójdziesz.

Nie pójdziesz! Łatwo to było powiedzieć, ale nie łatwo słowa dotrzymać! Jak zacząłem molestować, błagać, za ręce i suknię chwytać, zrobiłem wreszcie to, że się matka prawie zgodziła. Rzekała tylko jeszcze, chcąc mnie zastraszyć:

— A jak cię wilki zjedzą?

— Nie zjedzą, mamusiu, nie zjedzą, ja się wilków nie boję.

— Nie boisz się, boś głupi.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo to, co chciałem odrzec, wcale nie licowało z pokorą dziecięcą, a już przecie miałem tyle rozumu, że jeżeli mi się coś nie zdawało, tom się jednak ze swoim zdaniem nie wrywał. Tak sobie tylko pomyślałem: albo to prawda! żadnych wilków na świecie niema. Ile razy Jagusia straszyla Wicusia, żeby nie wlaził w sąsiek i wołała:

— Nie wlaź tam, bo cię wilk zje.

On nie wlaził, ale ja wlażłem zawsze, i nigdy, żadnego stworzenia, oprócz myszy nie znalazłem. Baju, baju, ale wilków niema na świecie.

Ot, co miałem na języku; ale zamiast tego, czepiłem się pana Adama, aby się za mną wstawił, a żeśmy się dosyć kochali, więc chętnie był moim orędownikiem i pozwolenie mi do reszty wyprosił, wzięwszy moją osobę na swoją odpowiedzialność.

Poszliśmy spać.

Całą noc przewracałem się na swoim sienniku, nie mogąc się doczekać chwili wyruszenia w drogę.

Nareszcie pan Adam chrząknął i zaczął krzesać ogień. O zapalkach wtedy nie było jeszcze mowy. Wkrótce zaplakana łojówka zaczęła pryskać i za ledwo słabo oświeciła ten kąt, w którym obaj mieliśmy przygotowane świąteczne suknie. Ja już się ubierałem. Zwawo umyłem się, uczesałem i równocześnie z panem Adamem byłem gotów do drogi.

Cały dom spał, gdyśmy się wszyscy wymykali za wrota. Przy samej bramie opadły nas psy nasze i głośnym szczekaniem zbiegły się, lecz wnet zaczęły ogonami machać i obcierać o nas swoje zeszroniałe grzbiety. Znając służbę, nie puściły się z nami w drogę, ale powróciły oszczeniwać parkany i zakamarki gospodarskie.

Teraz zaczęła się nasza podróż. Od domu do głównej drogi mieliśmy z pięćset kroków, a wciąż prosto prawie pół mili.

Pan Adam mówił pacierz, jam mu ustami dopomagał, choć w głowie tylko miałem tą myśl, jak to ja zaimponuję wszystkim, gdy powiem np. wujowi Janowi, lub komukolwiek, że byłem pieszo w Monastyrku na roratach!

Jużeśmy minęli Małą Huszczkę i dzwon z Monastyrku słychać było, gdyśmy poczeli się dźwigać pod górę. Po lewej stronie drogi wznosiła się wysoka góra, pokryta szumiącym borem bukowym, po prawej stronie było pole, na którego brzegu, tuż nad drogą, rosło kilka nadpruchniałych wierzb.

Pan Adam szedł rażno i ja niezgorzej. Wymawiając machinalnie: zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami — jako odpowiedź do litanji pana Adama, spoglądałem na prawo i myślałem o przyszłych triumfach, gdy nagle pan Adam puścił moją rękę i przeraźliwie krzyknął:

— Jezus, Marja! wilki! — i skoczył pod wierzbę, a ja za nim, zgoła nie pojmując grożącego niebezpieczeństwa.

Chciał mnie pan Adam podsadzić na gałąź, a sam następnie za mną się tam dostać, ale już na to czasu nie starczyło; zawołał więc tylko:

— Jasiu, stój przy pniu i nie ruszaj się krzykiem! — a sam drapał się na kilka sążni wysoko.

Zostałem tedy pod drzewem i miałem dość czasu, aby obrzucić okiem całe położenie: p. Adam był na gałęzi, ja pod drzewem, a o kilka kroków przedemną z tuzin wilków, które przed chwilą, świecąc złowrogo oczyma, w skokach biegly z góry, siedziało już półkolem na zadach, lby trójkątne zwróciły w moją stronę, z pysków, z pomiędzy nieregularnych zębisków, zwieszały im się długie, wąskie, krwawe ozory i jak z kominów, para się kurzyła, ślepią żarzewiem pałały, a ogony powoli śnieg rozmiatały.

Czy czułem trwogę? Nie, doprawdy, że nie. Ani przez myśl mi nie przeszło, że za chwil parę mogę być rozszarpany. Więc to takie są wilki — pomyślałem sobie — ba, nie było się czego straszyc. Ano, tęgie psiska i tyle. A że z psami znałem się i jeszcze póki mego życia, krzywdy od żadnego nie doświadczyłem, więc też z pewnem dobrem zaufaniem patrzałem na rozdziawione paszcze. Gadają, że wilki mogą pożreć człowieka — i to bajki, gdzieby zaś w taką gębę człowiek wlażł. I z zupełnem przekonaniem o zapewnionem bezpieczeństwie stałem pod wierzbą.

Tymczasem pan Adam dostał się na mocną gałąź i zaczął okrutnie hałasować. Wtedy dopiero zrobiło mi się jakoś nijako. Coś mię jakby w nosie zaswedziło — ale to zaraz przeszło.

Pan Adam łamał gałęzie drobniejsze (a łatwo mu to było, bo na mrozie wszystko kruszało) i ciskał na wilki: co który wilk gałęzią dostanie, to odskoczy na piędź, i dyszy para, a ślepiami błyska.

Zaczął pan Adam krzyczeć:

— Bywaj, bywaj, ratuj kto w Boga wierzy, wilki, wilkiiii! — a to „iii“ ciągnęło się gdzieś bez końca.

Kes czasu upłynął, a nikt i nic się nie odzywało. Już pan Adam chrypnąć zaczął, gdy w Małej Huszce psy się zaniosły jakimś szczekaniem niezwykłym. O, bo psy wilka z daleka poczują, jak się o tem później nieraz przekonałem i zupełnie inaczej szczekają, niż na złodzieja, lub na innego nieprzyjaciela. W tem ich na wilka szczekaniu jest coś i z groźby, i ze strachu, i z uczucia nieprzyjaźni, i jakby z żalu. Szczekają i wyją naprzemian, a do boju nie bardzo chętnie się rwa.

A gdy się psy odezwały i ludzie nie długo na siebie dali czekać. Pomiedzy odezwami i szczekaniem słychać było okrzyki i pytania:

— Hej, hej! a gdzie?

A wtedy pan Adam sił ostatnich dobywał i krzyczał:

— Tu, tu, ratujcie, ratujcie!

Tak znów przeszło pare minut. Księżyc i gwiazdy bladły na wschodzie, gdy w ciszy rozległ się skrzyp śniegu pod stopami chłopów; szli ludzie z Wielkiej Huseczki z dragami i krzyczeli i hukali na dzikie bestje. Gdy już byli o jakie trzysta kroków, wilczyśka się podniosły i zupełnie wojennym truchtem oddaliły się w górę, skąd przyszły.

Za chwilę otoczyli nas chłopci: pana Adama trzeba było ściągnąć, a raczej znieść z drzewa, tak był osłabł z przerażenia; co do mnie byłem trochę zziębnięty. Cała ta historia trwała ze trzy kw.

dranse. Wydziwić się ludziska nie mogli cudownemu memu ocaleniu.

Z całą gromadą wróciliśmy do domu, do naszej Huszczy: pana Adama prowadziło dwóch ludzi pod ręce, nogi ledwie powłóczył za sobą, a twarz zczerniałą miał jak wątroba. Zaraz też legł do łóżka i ciężko się rozchorował.

A ja? ja pojąć nie mogłem, czemu się nazajutrz matka zapytała:

— Chciałbyś jutro rano iść na roraty?

Z zupełną naiwnością nawzajem pytałem: kto idzie? — Nie podobała mi się ta niedokończona podróż.

W kilka dni później żyd arendarz przyniósł wiadomość, że wilki zażarły chłopca z kobietą i parę koni. Z rachunku pokazało się, że to było tej samej nocy, gdyśmy z panem Adamem pielgrzymowali. Widać, były to te same sztuki, które mając pełne żołądki, nie zlakomiły się na mnie mizeraka.

Sobieski w Krasnopuszczu.

Niedaleko Złoczowa leży miasteczko Pomorzany. Należało ono dawniej do rodziny Sobieskich, a Jan Sobieski lubił to miejsce, gdyż zanim królem polskim został, często tam polował. W pamiętnikach tego miasteczka zapisany jest dziwny wypadek, który Sobieskiemu na polowaniu się wydarzył.

Działo się to w drugiej połowie stycznia 1665 roku. Na cześć Sobieskiego wówczas jeszcze hetmana, urządzono wielką obławę, a mnóstwo było zwierzyny w lasach pomorzańskich. Gajowi z ludźmi wyszli równo z dniem, ale sama obława w powodu różnych przeszkód zaczęła się gromadzić dopiero około południa. Sobieski stanął na stanowisku, zwanem podziśdzień pasieką.

Nie szczęściło się w tym dniu Sobieskiemu, gdyż jakkolwiek i jelenie i niedźwiedzie obok przebiegały, zaledwie kilka położył zajęcy.

Wtem nagle usłyszał Sobieski ogromny trzask gałęzi i w tej samej chwili wypadł z lasu ogromny dzik, pędząc prosto na niego. Dzik trafiony celnym strzałem przykłął, lecz zerwawszy się, uchodząc zaczął w gęstwinę. Sobieski rzuciwszy palną broń, puścił się za nim z kordelasem.

Nadbiegli strzelcy, zaczęli strzelać i nawoływać, chcąc panu wskazać miejsce, gdzie ich ma szukać, a nawet kilku w ślad za nim się puściło, ale że to był dzień mglisty, a w dodatku i ciemnieć nagle poczęło, stracili wkrótce ślad Sobieskiego. Ten zaś na strzały odpowiedzieć nie mógł, bo strzelby nie miał przy sobie, a dzika żał mu było porzucić.

Gdy atoli gonitwa za długo się przeciągała, noc coraz bardziej zapadała, a i zmęczenie czuć się dało — zaczął Sobieski myśleć o powrocie.

Wolnym krokiem szedł jarem do góry, gdzie myślał, że przez ciemny gąszcz przebijają się słabe światelko.

Wtem rosły jeleni wyrwał mu się z pod nóg i pędem pobiegł w kierunku, skąd światło błyszczało. Podążył za nim Sobieski i ujrzał chatkę, której drzwi jeleni uderzeniem rogów sobie otworzył, a wtem na progu chatki ukazał się poważny w mniszym stroju starzec.

— Niech będzie pochwalony! — powitał Sobieski. Sława Bogu, sława i wam panie na wieki — odrzekł poważnie starzec.

— Ktoś ty starcze? Nie obrażaj Boga, bo tylko Jego chwała trwa na wieki. Powiedz mi, gdzie jestem i co ty tu porabiasz?

— Nie bój się, miłościwy panie, ja biednym

jestem pustelnikiem, a raduję się bardzo, że was w mojej chatce przyjąć mogę, bo na waszej głowie widzę koronę, a na waszem ciele odblask wiekowej chwały.

I upadł starzec na kolana i całował ręce Sobieskiego.

Wzruszonemu i przejętemu Sobieskiemu łzy w oczach stanęły, podniósł starca i rzekł:

— Głodny i zmęczony dziś ja będę u ciebie, a jutro ty już u mnie.

I wszedł do chatki ojca Gedeona, rzucił się na ofiarowane mu posłanie z mchu i liści, a pustelnik dołożył drewniek do ognia, przy którym gotował się groch, który miał być całym obu pożywieniem.

Na zapytanie Sobieskiego odpowiadał starzec, że brał udział w wojnie Chmielnickiego, ale przeżony mordem i pożogą, schronił się do tego ustroju i osiadł w miejscu, gdzie przed latami stało sioło Krasnopuszca; a dalej, że widział raz we śnie rycerza, zupełnie do Sobieskiego podobnego, w koronie na głowie i z mieczem w ręku.

— Tak panie — kończył starzec — ty jesteś tym królem, a ja nie umrę, póki cię nie ujrzę w koronie.

I upadł starzec na kolana i modlić się począł gorąco.

Usnął zmęczony Sobieski.

Gdy się obudził był już dzień biały. Przed sobą ujrzał ojca Gedeona i wiernego sługę Wardeńskiego, któremu z drużyną udało się pana odnaleźć.

Modlił się długo Sobieski, a gdy miał powstać, Gedeon położył ręce swoje na głowie jego i błogosławił.

Rzekł tedy Sobieski:

— Święty starcze, chcę, aby na miejscu, gdzie dziś nocowałem, stanął klasztor Bazylianów, a ile na dzień jeden człowiek drogi ujdzie, taki szmat kraju darowuję na własność tobie i klasztorowi, którego przełożonym ty będziesz.

W dniu 7 marca 1665 r. założono klasztor, a gdy w dziesięć lat później ojciec Gedeon doczekał się spełnienia swego proroctwa, przekonał się, że i Jan III o tem pamięta.

Nowy król bowiem obdarował klasztor tysiąc-morgowym obszarem, z dział zdobytych kazał ułać dzwony, a do cerkwi zakupił obraz wartości sto tysięcy złotych.

Nietylko wtedy wielkim wojownikiem i pogromcom Turków, ale i pobożnym i wdzięcznym był Jan III.

Na jeziorze Pejpus.

Był to jeden z tych dni pogodnych i ciepłych, jakie poł koniec lata dobra natura często daje nam w podarku.

Trawy na płotnistem wybrzeżu jeziora Pejpus*) przybrały rdzawoczerwony kolor jesieni, ale w rozciągającym się opodal lesie zieloność ubierała drzewa i tylko miejscami złote przeświecały liście.

Krótki a pękaty parowiec, wywierając właściwy prąd, przerzynał właśnie wody jeziora. Pasażerowie, radzi słońcu, wylegli na pokład, gwarząc różnymi językami.

Na pomoście, obok kapitana, zebrało się kilku amatorów pięknych krajobrazów, przyglądając się to wodzie zielonoszarej, to jednostajnym wybrzeżom.

Lecz oto coś zwróciło ich uwagę; wszyscy skupili się przy jednej krawędzi pomostu i wychylają głowy w kierunku brzegu. Nic tam szczególnego: ten sam las, te same błonia, ale z lasu wyrrywają się basowe dźwięki myśliwskiego rogu

Polowanie!

Po chwili cały przód i jedna strona statku pokryły się wspartymi o parapet postaciami. Nawet posługaczka z bufetu, zarzucając serwetkę na ramię, stanęła w drugim rzędzie. Luneta uprzejmego kapitana poczęła kraść pomiędzy ciekawymi.

— Łosia, łosia gonia! jak mi Bóg miły — zawołał ktoś. — Kapitanie, czyj to majątek?

— Barona Samson - Himmelstierna — odparł tenże. — Mówiono mi w Dorpacie, że się wybiera do niego liczne towarzystwo, żeby zapolować na łosie.

Nie słuchano już tego objaśnienia. Wszystkich oczy skierowały się na wbrzeże, a kapitan, czyniąc zadość ciekawości ogólnej, kazał zbliżyć bieg statku nieco ku brzegowi. Coraz wyraźniej dało się słyszeć ujadanie psów i ów bezładny hałas, jaki sprawia liczne grono ludzi, rozgorączkowanych pogonią.

Naraz na polanę, gdzie się las kończył, wyskoczył zwierz ogromny, ciężki, o głowie niekształtnej, zdobnej szerokimi rogami; biegł on przez czas jakiś równoległe z kierunkiem statku, zatrzymując się od czasu do czasu, ażeby niezgrabnym kopnięciem rąk odrzucić daleko jakiegoś zbyt zuchwałego ogara, których cała zgraja uwijała się koło niego.

Po chwili wypadł z lasu na białym koniu jakiś mężczyzna, którego czerwona kurtka odznaczała się z daleka na tle zieleni, a dalej kilku, czy kilkunastu jeźdźców w różnych odstępach. Wszyscy używali ostatnich sił swoich rumaków.

Tu jednak, gdzie nie było drzew, ani galezi, szansa wygranej w wyścigu zdawała się przechylać stanowczo na stronę myśliwych. Konie bruchami prawie że dotykały ostrych traw na kępach. Zmiarkował to widać Łoś, bo przybiegłszy nad sam brzeg, rzucił się nagle, jak człowiek, piersią naprzód do wody. Po chwili już tylko łeb rogaty wystawał po nad fale jeziora, coraz bardziej oddalając się od ładu...

Zbliżał się ku statkowi.

Teraz zmieniły się role. Myśliwi na brzegu żywymi gestami i okrzykami objawiali niezadowolone, przeciwnie, na statku zawrzało ruch.

Kapitan zbiegł z pomostu, sternik powierzył ster jakimś mniej doświadczonym rekiem, a dwóch matków przylączyło się do nich i żwawo rozmawiając po łotwsku, udali się na przód statku. Za chwilę stali nad pękiem lin.

Sternik, chłop w sile wieku i tegiej budowy, zakasał rekawy i podniósł do góry żylaste ramiona, pokryte tatuowanymi znakami. W rękę trzymał linę z pętlą, gotową do rzutu. Łoś, jak nieprzwtomny, płynął prosto na statek, biorąc go może za oderwany kawał ładu.

Zamiar marynarzy stał się każdemu widoczny. I myśliwi na brzegu musieli go odgadnąć, bo gwałtownym machaniem rąk i krzykiem usiłowali protestować. Ale to nic nie pomogło. Łoś był tak blisko, że z pokładu wybornie można było rozpoznać jego nos garbaty, jakby spuchnięty, i małe, bez błysku inteligencji, jak gdyby zaspane oczy.

Ręka sternika skurczyła się w tył o ćwierć łokcia. Jeszcze chwila...

— Halt, Jeus! — zawołał nagle kapitan. — A to co za ryba?

Ale już lina świsnęła w powietrzu.

Pętlica, kierowana zręczną ręką, objęła jeden z rozłożystych rogów zwierzęcia. Sternik popuścił nagle parę łokci liny i zatoczywszy ręką potężny krąg w powietrzu, omotał drugi róg i szyję zwierzęcia.

Tysamem od brzegu parowiec małutki, niby zabawka dziecinna, cały w dymach własnego kominu, szybko zbliżał się ku miejscu oryginalnego polowa. Tam u licha! — zawołał sternik — potrzebny też tu hrabia Sternberg ze swoim samowarem.

— Hej chłopcy! na pokład rekina a żwawo.

Kapitan był nieco zakłopotany, ale pozwalał robić podwładnym, co im się podobało. Po kilku minutach czworonóg, dysząc ciężko, leżał na pokładzie. Czempredzej związano go i spuszczone do komory pod pokładem, prawie nieżywego.

Twarz kapitana rozjaśniła się.

— Pyszna sztuka! pyszna sztuka! — powtórzył. Tymczasem mały parowiec już prawie doganiał statek. Ale sternik powrócił do swego zajęcia. Wskutek mistrzowskiego półobrotu mały parowiec znalazł się nagle pomiędzy dwiema falami, które szeroką bródzą ciągną się za każdym większym statkiem.

Bieg jego został wstrzymany na chwilę.

Samowar dał za wygraną i chciał spróbować układów. Na statku ukazał się wysoki mężczyzna w kurtce i butach myśliwskich i coś przemawiał gwałtownie. Lecz szum kół zagłuszył jego słowa. Treść wszakże musiał odgadnąć kapitan, bo taką dał odpowiedź:

— Panie hrabio! Nie polowałem na pańskim gruncie. Woda to mój grunt.

Mówiąc nawiasem, słów tych pewno nawzajem nie zrozumiano. Wkrótce wszystko na statku wróciło do zwykłego porządku. Łoś pozostał z marynarzami.

*) Położone na granicy Estonii i Rosji; na tem jeziorze odbyła się w roku 1702 bitwa pomiędzy flotą rosyjską a szwedzką.

Łapówki rosyjskie.

Do jakiego stopnia upodlenia doszli Moskale pod względem łapówek świadczy wypadek, jaki w jednym z pism rosyjskich opisuje pewien uczestnik wojny...

...każdej bitwie następowało odszukiwanie ranionych wśród zabitych, tj. właściwieby tak być powinno, w rzeczywistości jednak odszukiwano tylko tych, którymi warto było się zajmować. Tych szczęśliwych zaopatrywano w znak czerwony, wszystkich pozostałych zaś, zarówno martwych, jak i żywych, oznaczono czarnym znakiem i wrzucano do wspólnej mogiły.

„I mnie właśnie omal, że nie pochowali. Leże raniony i słyszę: idą. Podeszli do mnie. Szarpneli — jęknąłem. Patrzą, sanitariusz bierze czarną farbę.

— Cóż to — wołam — przecież żywy jestem.

— A czy pieniądze masz? — pyta.

— Są — mówię.

— Wiele?

— Dziesięć rubli.

— Dawaj.

Sanitariusz wziął pieniądze i czerwony znak na mnie położył. Ledwie odszedł, gdy uderzył szrapnel. Sanitariusz padł na miejscu. Dlaczego moje pieniądze mają ginąć — pomyślałem. Podpełzałem do zabitego sanitariusza i poczęłem go obszukiwać. Znalazłem nie 10, lecz aż 400 rubli, widocznie w ten sposób zebrane.

Tak opowiada żołnierz, który sam ledwo umknął strasznego losu, wykupiwszy się od pochowania żywcem 10 rublami łapówki. Takie rzeczy działy się w armji rosyjskiej. „Obrońców ojczyzny“ ich własni towarzysze pod okiem troskliwych zwierzchników zakopywali żywcem do grobu, gdy ci nie mieli pieniędzy na zapłacenie łapówki.